ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **niedziela 6 maja 1934 r.** **Nr. 19**

Marja L. Krüger

Asy gorące

Reportaż z „Pogotowia opiekuńczego dla dzieci"

BUTY

Kolonja Staszica. Wawelska 1. Furtka drewniana i ogródek. Stara willa „dacza" i szyld: „Pogotowie opiekuńcze dla dzieci".

W ogródku grządki z wysuwającemi się z ziemi listkami „irysów." W powietrzu lata piłka. „Dwa ognie" — to taka gra. Trudno jest biegać i łapać piłkę, kiedy się ma na nogach ciężkie buty z cholewami.

— Panie dyrektorze, proszę o buty! Nowe buty!

Buty to piękna rzecz. Skrzypią elegancko. Ile takie buty kosztują? Dużo. Można je ściągnąć jakiemu chłopakowi. Można w swoich, nowych, zwiać.

— Nie teraz nie dostaniesz. Jak będziesz, bracie, dłużej, to ci dadzą.

Dłużej? To znaczy spać w łóżku i jeść. Porządnie, dużo. Ale jest taka knajpa na Nowogrodzkiej, gdzie schodzą się chłopaki. Kulas, jego brat, Stasiek Bulej i Borszczak. Tam też się je. Dobrze się je. Kiedy jest forsa.

— Skąd forsa?

Wygrana. Najwięcej wygrywa Kulasek. Wszystkich ogra.

— Niech ze mną nie grają, jak nie umieją. Grał taki jeden wielki. I przegrał. A wczoraj był taki żydek. Pokurcz, szczeniak. „Bez rączki" — tak się nazywa.

Grał z Kulaskiem ,pod łapkę". Orzeł - reszka. Przgrał trzy i pół złotego i za to dał szmaty. Nowe porządne szmaty. Koszule, kurtkę i jeden but. Potem drugi raz przegrał. W oczko. Przy gorących asach.

— Wszystkie same szły pod rękę — Kulas mruga. I w policzkach robią mu się dołki.

Kulas wygrał dla brata. Spodnie i koszulę. Niebieską. Ile kulas ma lat? Trzynaście. Brat jest starszy. O rok. Ale nie taki cwaniak. Przez niego była wpadka. Policjanta nie dopatrzył i posterunkowy Kulasa złapał. W Alejach Ujazdowskich.

— Dlaczego żebrałeś?

— Bo w oczko wyszło tylko cztery i pół złotego. Trzeba było jeszcze pół złotego. Tak musi być. Do krągłej piątki.

ŻYLETKĄ...

Ciągle grać — nie udaje się. Trzeba stać na Brackiej, w Alejach, na Nowym Świecie i prosić. — Zimą, to z bosą nogą. Druga? — tramwaj odciął. — Wieczorem drzwiczki od taksówki otworzyć przed teatrem. W nocy, przed knajpą — wysiada pijany facet, — żyletką kieszeń przeciąć. — Dołeczki w policzkach Kulaska pogłębiają się. — To frajda. Potem jest życie. Do Miłosny hajda. Koleją. Ma się swoją melinę. Tam Staśka Buleja brat jest. Ożenił się, izbę ma. Łóżko na noc wynajmuje. Chyba z dziesięciu chłopaków na jedno Za półtora złotego od chłopaka. Złodziej jest. Silny i zły. Jak chce, wszystko zabierze. Kulasa nie nabierze. — Pepegi mu nowe wziąłem. Za te półtora złotego, co sobie każe płacić. Złodziej silny

— Do domu? Do matki? — znikają z policzków dołeczki. — Co ja tam bede robił. Matka ma na wychowaniu jeszcze dwoje.

Tak trzeba mówić. O matce jaknajsmutniej. Żeby było tak. jak w piosence z podwórka.

— Co matka robi?

— Dwieście pierogów dziennie smaży. Dwieście pierogów na Wołówce sprzedaje.

Co dalej? Z Kulasem i z kompanją? Felek ma dziewiętnaście lat, na czternaście wygląda. Był już rok temu, w Pogotowiu był. Może przez miesiąc. Potem — zobaczył, ojciec za płotem szedł. Zatęsknił, zatęsknił do ojca.

Do bandy, do chłopaków przystał. Teraz od kompanji się odżegnywa. Może, zwyczajnie, taki jest, że chce jeść, spać pod dachem, jak wszyscy. A może tylko tak, przed dyrektorem Pogotowia mówi. Do obozu letniego pójdzie. Skromniuśko oczy spuszcza. — Żeby przyjęli.

W „RAJZIE"

Ten drugi, Borkoszczak, co za Boryńskiego się podaje, teżby do obozu szedł. Tylko Kulasek nie. Gdzie będzie? Nigdzie. Nie chce. I pracować — za nic. Zimą też był w Pogotowiu. Lufcik otwarty — nogą na śnieg. Jak stał. W kurtce jedynej. Kulasek, co nazwisk lewych piętnaście ma. — I do węglarni, do kotłowni, na Główny. Tam — spać. W dzień — różnie. Żeby prędzej wiosna. I zaraz w rajzę. Z chłopakami albo sam. Lepiej sam. Prędko, prędko po drabince, co jest z boku wagonu. Na dach, koło harmonijki. Położyć się! Albo do „psiaka". Do środka towarowego. — Są klatki na psy. Włazić. Na czworakach. Kłaść się. Ciasno. Chyba ze szternastu. Bułki, kiełbasa, wódka, papierosy. Aż do Czechów. Na Morawską Ostrawę. — Po jakiemu gadają?. — Prawie, że po naszemu. Inaczej w Wiedniu. Tam Kulasowy brat jeździł.

Całe lato — w rajzie. Do Poznania, do Katowic, Krakowa, Lwowa. Do bolszewików. Też. W Szepietówce — biała stacja. I Zdołbunów. Na granicę. Słupy takie malowane. Można przejść. Dalej niema poco. — Zdychać tam bede z głodu? I mówić po jakiemu? Więc tylko tak, żeby zobaczyć. I nazad. A potem znów w rajzę. Może sam, może z Józkiem.

Józiek też w Pogotowiu bywalec. Na pojedyńczej kartce w potrójną linję, z zeszytu wydartej, napisał o sobie:

„Mój życiorys. Ja nie niewem kędy ma rodzina. Ja pochodze sam newim skut, moja mama rajzuje, ja pochodze z rodziny rajzerski, moja matka zajmuje sie złodziejstwem ja ojca nie pamętam, teraz napisze o swojej podruży. po piersze jeździłem po wszystkich miastach, póżniej byłem po wszystkich komisarach, wszedzie byłem a każdego fondoktora kopnełem a przedewszystkym klamem, po wszystkych zakładach rużne nazwiska zminałem, rajzerem miszczem to jestem, fondrowiec z lewej renki, dalej nie wiem co sam zrobie, to jest rzecz dla siebie".

DOPÓKI SIĘ NIE SPRZYKRZY...

Razem z Józkiem przyprowadzili i Władka. Już ma piętnaście lat. W Pogotowiu siedzi, nie ucieka. A bo mu źle? — Żeby napisał o sobie. A napisał, niech ludzie wiedzą: — „...matka moja była zwykła robotnica, ojciec był tramwajażem i nieźle nam się powodziło. Rodzice moi posyłali mię do szkoły, ale ja nie chciałem się uczyć i uciekłem z domu, a już miałem 11 lat". — Na końcu stoi: — „jabym chciał być artystą". Tak napisał w tym życiorysie. Artysta chce być. Na filmie. W Pogotowiu chłopakom głowy maszynką strzygą. — Za nic, za nic z łbem golonym chodzić. Jak wtedy do Brodzisza może być podobny? Ale w Pogotowiu dobrze. Do kina zabierają.

Niektóre chłopaki to tak siedzą w Pogotowiu. Na niby siedzą. Dopóki się nie sprzykrzy. Zjeść dadzą. Spać można. Piłka jest — sportowa. I furtka od ogrodu nie zamknięta. Jest się, póki co. A potem? Niczyja rzecz. Co komu do tego? Ani mrumru. Antek o tem tak napisał: — „...w Krakowie poznałem Akulę Mikołaja, czyli Kamińskiego Józefa. Pewnego dnia wybraliśmy się w rajze. I przyjechaliśmy do Warszawy. W Warszawie pokłóciliśmy się i roześliśmy. Mnie policjant przyprowadził do komisarjatu pietnastego. W nocy przyprowadzili i Kamińskiego. Na drugi dzień przesłano nas do Pogotowia. Co mam dalej robić, to tajemnica moja".

Tojemnica — otwarta furtka w Pogotowiu. Za furtką — ulica i chłopaki i „asy gorące", co same pod rękę włażą. Bramy, sienie, klub chłopaków swoich przed Głównym dworcem albo w Alejach Ujazdowskich. I lewe przezwisko, i rajza.

A NIEKTÓRZY — TO INACZEJ

A znów niektórzy — to zupełnie inaczej. Wyjść z Pogotowia? Za furtkę. Tam? Gdzie brudy? Galgany? O rany!

Zimno i twardo spać w sieni. Gnaty bolą. Boli w dołku. Z głodu. Pasem przez łeb leją. Stawiasz się, szczeniaku?

Nie, nie, dziesięć razy albo tysiąc razy nie! Tylko tu już zostać. Na tej Wawelskiej, pod pierwszym. — Dobrze, bracie. — Tak mówi dyrektor. I ubranie dadzą. Własne będzie. I buty. I czapkę.

A tu piłka leci. W górze. Skórzana. O rety!

Łapać ją, łapać. Stefan, najlepiej łapie. Smieje się. Kiedy to się śmiał? Nie pamięta. — Chłopaki, nie dajta piłki,—to nie tak, to nie tak było przedtem: — nie dajta mnie, matka. bić.—I szturchańce po gnatach"... „matka była praczką, a ojciec robotnikiem w fabryce mebli i był pijakiem i matka umarła w roku 1934, w Zwierzyńcu, ja musiałem pojechać, bo ojciec się upijał i mnie bił... Ze Zwierzyńca pojechałem koleją na gapę w środku wagonu i zająłem się sprzedawaniem gazetami, narzycie zarabiałem. Jeden posterunkowy zapytał mnie ile mam lat (11) i zaprowadził mnie tutaj". W zeszycie Stefana tak było.

WYZNANIA DZIECI

W Pogotowiu nie biją. I obiad zawsze. Gotowany. Dosyć dla wszystkich. Gimnastyka w ogrodzie. Raz, dwa, trzy. Na książce uczą. I pisać. Maniek — nową stalówką. — Chodziłeś do szkoły?

„...do szkoły tatoś mie posyłał ale lubił bardzo pić rużne likiery i wódkie... rano dotykam tatósia i wołam tatósiu tato, ale nic. brat muwi że umarł ale ja jakem sie o tem dowiedział, na schodach upadłem ze strachu i zemdlałem, ale gospodyni zauważyła i poszła do tatósia powiedzieć, ale sie sama przelękła bo zauważyła że stał sie wypadek. Zatelefonowała po pogotowie i przyjechało ale mnie ocucili a tatósia nie, więc spogotowiem przyjechała trupiarka i zabrała tatósia. Za rok znów mi brat umarł i teraz poszedłem do jednej pani, ta pani zapłaciła za wszystko i ja tam byłem też, i ottej pani uciekłem i pojechałem na gape kolejo. A jaby chciał być malarz i pojechałem do gdyni. a z gdyni do poznania a z poznania do Warszawy az Warszawy do Pogotowia. A co chciałbym dalej robic, to moja tajemnica".

Inni też napisali o sobie.

Rysiek drobnemi literami tak:

„Urodziłem sie w 1923 roku dnia 6 listopada. Ulica Żytnia 45. Mam 11 rok. Ojciec zajmuje sie jako urzędnik a matka była młotszą. tatuś zawsze pił wódkie i mama porzuciła i miałem ojczyma który był niedobry i się kłócił. Mama nie mogła wytrzymac i ztego wsyskiego zahorowała na ślepe kiszkie i umarła dn. 29 września 1933 roku i potem dostałem się do Pogotowia. Chciałbym bardzo być lotnikiem. Koniec".

A znów Zygmunt porządnie i równiutko:

„...gdy skończę szkołę mam zamiar uczyć się w wyższych szkołach i puźniej być doktorem medycyny, albo w wojsku jakim starszym. A jeżeli moje zamiary skonczą się na niczem więc będę rzemieślnikiem. A jak mi będzie w życiu źle to wstąpię do zakonu i tam dokończę swój żywot. Takie są moje zamiary".

Tak napisał Zygmunt.

O całem swojem życiu Stasiek własnemi słowami napisał:

„Urodziłem się w warszawie na ulicy kawęczyński dnia 21/IV 1920 roku. Byłem w domu, było mi dobrze. Mama robiła w barze, a tatuś na kolei prostym robotnikiem. Unas było 6 dzieci ale w krótkim czasie Mama mie umarła w r. 1926 i wtedy ojciec zaczął pić. Kiedy dostał wypłate to wszystko przepił, ot nie mieliśmy za co żyć, to moi bracia poszli kurjera sprzedawać a ja i mój brat zostali w domu, ale jak moi bracia przynieśli wypłate to ojciec zabrał i poszedł do knajpy, to jeden brat najstarszy poszedł do stolarza i uczył sie roboty stolarskiej i ojca to rozezłościło i wypędził z domu. Ale za pare dni ojca wydalili to nam była bieda i ojciec mię wygnał, ja się tułałem prawie rok, to poszłem na kolej odnieść pakunek żeby zarobić na obiad. nieraz dało sie odnieść a nieraz nie. Przyszłem z policjantem tutaj, taki koniec mojego wędrowania. I mój zamiar jest dalej zostać szoferem".

O ojcu. O tatuniu niegodziwym.

Czesiek nic nie napisał. Co miał pisać? Wiadomo przecież jak było. Na wsi wieszkali. Brat był — Franek. Do bandy przystał. Do Muchy. Sławny Mucha. Wszyscy się go bali. I nie każdego przyjął. Egzamin trzeba było zdawać. Franek zdawał. W takiej wielkiej księdze spisane wszystko. Jak kraść. Jak zabijać. Z tego sie Mucha pytał. Jak na księdza napadli — brat tysiąc złotych z podziału dostał. Tèraz w kreminale siedzi. Jego, Cześka, posterunkowy do Pogotowia przywiózł. — Co miał uciekać? Z Pogotowia do zakładu dla chłopaków oddali. Jest tam. W orkiestrze na trąbie gra. I jakżeby już tak dalej bez grania. Zostanie. W orkiestrze. A dyrektora i opiekunkę przychodzi odwiedzać. I popatrzy jak się tu dzieciaki bawią.

— Boicie się czarnego luda?

DZIEWCZĘTA

W drugiej stronie ogródka — dzieciaki mniejsze i dziewczyny. W ławkach białych, sosnowych siedzą. Czytają głośno. A jak nie, to w kółko chodzą, za ręce się trzymają. Śpiewają o kwiatkach.

— Jak ci na imię?

— Maniusia.

Rzęsy takie długie opadają na piegowate policzki. Pięć lat ma. Widziałaś kwiatki? Zrywałaś?

Jakżeby nie. — Za Jabłonną, dom był. Domu niema. Komornik przyszedł. Mama krzyczała. O rany, ludzie. Pod szopą siedzieli z mamą. Policjant przywiózł Mańkę. Tu. Tu — dobrze. Mama przychodzi. Pierwszego. Jak z obowiązku puszczą.

Chodzi obok Maniusi w kole Janinka. Chodzi i śpiewa. Znów się warkocze rozplotły. Janinka nie da ich obciąć. Tylko ciągle z rozpuszczonemi by latała. Jak nie widzą — to sama rozplata. Tak ładniej. Ma chyba ze cztery lata ta Janinka. — Nie, ma sześć. — W domu mama włosy czesała. Albo ciocia. Wychodziły z domu. Ciągle wychodziły. Panowie przychodzili. Krzyczeli, wódkę pili. — Mama chorowała. — Tyle wódki, tyle. Z facetami — pić. I bez facetów — pić. Z drugiego piętra na podwórze — nie wysoko. — Żeby w tem zimnem grobie. — Pogotowie na Górczeskie, pod piętnasty pojechało.

I jeszcze inne dzieciaki w kole chodzą, w szewczyka się bawią. I Czarosław, co to go mama podrzuciła. I Jurek, i Ala. Sędzia tato dawniej był. Na oczy zaniewidział. I policjant dzieci zabrał.— Bo w domu nie było co jeść.

Już o wróbelku, o krasnoludkach prześpiewane. Kto chce się bawić lalką? Wszystkie dziewczynki. Najwięcej Heńka. Taka wysoka. Dziesięć lat ma, a każdy się dziwi i mówi, że chyba ze dwanaście: — Henia, przykład dobry dzieciom dawaj, grzeczna bądź — tak mówi opiekunka. Henia daje dobry przykład. Opiekuje się temi małemi, i nigdy już niema mowy o tem, co było kiedyś, zanim tu przyszła. Nigdy o tem. Nigdy o tej Adeli, co namówiła, co chłopaków sprowadziła. Do piwnicy. — Nie bój się głupia. — Tak do Heńki mówiła. Bo Heńka sama toby za nic. Tylko ta Adela to — taka.

NIE ZAWSZE ZE ŚLUBEM

Teraz — lalka do zabawy. Lalkę wydać zamąż. Żeby z weselem z welonem. Panna młoda.

Ze ślubem? Nie, nie zawsze jest ze ślubem.

„...moja matka nie była zamążna — tak pisał Wicek — ale mojej matki siostra była zamążna we wsi Szewelach i potem pojechał mąż tamtej siostry i chciał zeby moja matka ślub zim wzięła i pojechała do slubu ale Bacuszka nechcał slubu dać bo moja matka była starsza od siostry to wszędzie jeździli i nigdzie nie dali ślubu to oni tak żyli bez slubu, to matka 2 lata pobyła, zobaczyła że on wutke pije i zabrała mnie i poszła".

Nie dobrze, nie dobrze na wiarę żyć.

Ale lalczyne wesele być musi. Lalka nazywa się Fredzia. Na pamiątkę po jednej dziewczynce, co była w Pogotowiu. Tę Fredzię, to wszystkie dzieciaki lubiły. Taka już była.

HISTORJA FREDZI

„...Moje życie jest przykre — napisała o sobie — moja mamusia żyła z tatusiem 12 lat, mój tatuś zajmował sie szestwem a moja mamusia chandlem. Raz tatuś zawiózł do Kupca robote i dostał wypłate, to my nie mieliśmy co jeść a tatuś poszedł i stracił te pieniądze i już nie przyszedł do domu. Tatusia brat powiedział, że on wyjechał do Wołomina, jak mamusia sie o tem dowiedziała to sobie inaczej już rozmyśliła, nareście dostała sie do dobrolina. Pracowała tam dwa lata a po dwóch latach tatuś sie zgłosił, kiedy sie tatuś dowiedział, że mamusia pracuje przychodził do mamusi, ale mamusia nie chciała sie zejść więc tatuś zaczoł chodzić do fabryki i nalepiać kartki, nareście nadeszła redukcja a mamusię zredukowały to dzieci zaczęły prosić mamusię, żeby mamusia się zeszła z tatusiem. Nareście sie mamusia zeszła z tatusiem i zaczęła znów pracowac do spółki z tatusiem. Kiedy mamusia pożyła z tatusiem rok i 3 miesiące tatus zaczął pić wudkę a kiedy nie mieliśmy w ten dzień co jeść, to tatuś poszedł i stracił pieniądzie i jusz więcej nie przyszedł. Mamusia oczekiwała blisko 6 miesięcy, tatusia nie było widać a kiedy jusz przeszło 6 miesęcy mamusia sie mordowała jak tylko mogła, wysprzedała wszystkie żeczy co tylko miała, nareście wszystkie żeczy wysprzedała, już więcej nie miała to poszła do Komisarjatu zameldować, że nas zostawi na ulicy. Kiedy napadła eksymisja mamusia poszła na krakowskie pod N-o 60 i tam nas zostawiła. Byliśmy tam jeden dzień w komisarjatu i policja nas przyprowadziła tutaj do tego zakładu, a wtym zakładzie jest bardzo dobrze".

Taka była historja Fredzi. Dziewczynki.

A tą lalką Fredzią to wszystkie chcą się bawić.

I Helka też.

RĄCZKA HELKI

Helka dorożką jechała. Z policjantem, do Pogotowia dla dzieci. Bo na ulicy płakała.

— Dlaczego Helka płakała?

Tata kazał. Na ręku trzymał i kazał płakać. Żeby głośno. A jak nie płakała—to rączkę wykręcał. O, tak brał i wykręcał. Żeby więcej płakała. I tak tata wtedy mówił:

— Ludzie kochane, mam żone umierające i dziecko.

Tak się tatuś „starał" na ulicy. I ludzie dawali. Dużo dawali. Codzień się „starał". Raz na Żoliborzu. Drugi raz na Wielkiej. Albo na Sosnowej. A przedtem u Jana Bożego chorował.

W domu — mama. Biła. Krzyczała. Kłóciła się. Niby z Helką. O mieszkanie się kłóciła. Bo mówiła tak — że trzeba się stąd wyprowadzić. A potem zaraz na Helkę. — A ty taka. Helka ma sześć lat.

— Kochasz mamę? — Nie. Do domu — nie. Tu zostanie. Tu lepiej. W domu spała w nogach, w łóżku. — Pchły gryzły. Tata przez sen kopał.

— Wykąpałam się tu we wannie. O, koszulkie dostałam, majteczki.

Prawdziwe są, białe, zapinane. I sukienka. Barchanka. I buty, i podwiązki. Podwiązki — najpiękniejsze. Z gumki. Zielonej w kratkę. Własne. Zupełnie własne. Przedtem nigdy w życiu podwiązek nie było.

— I w łóżku spałam. We własnem. Sama. Pod kocem. Ciepluśko.

I dziś będzie spanie pod kocem. W nocy—Leż ścierwo—tata kopnie. Nie, to już nie. To nie baraki. To się tak śniło. Tylko śniło. I rano będzie — śniadanie. Kawa w fajansowym kubku. Chleba można nadrobić do kawy. Dużo. A potem — słońce i pogoda. I do ogroda Helka idzie — do ogroda.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BOBROWSKI J. prof.: Uprawa pasz z uwzględnieniem gospodarstw małorolnych. 8° str. 45. Tarnów, 1935. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.75.

CIBOROWSKI TAD. Ks.: Jedwabnictwo. Hodowla jedwabników i morw z 136 rys. w tekście z przedmową dr. J. Prüffera. 8° XVI, str. 299. Łomża. 1934. Księg. Unitas. Zł. 4.75.

DOBROWIEST BR.: Zagadnienie żydowskie. 8° str. 58. Kraków, 1934. Skł. Księgarnia Krakowska. Zł. 1.

GĄSIOROWSKI W.: Orlęta. Wybór wojskowych powieści napoleońskich. Wyd. 2-gie z rycin. 8° str. 207. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 4.50.

GLASER I. dr. i MOGILNICKI A. dr.: Prawo o wykroczeniach. Komentarz. Przepisy wprowadzające Tezy z orzeczeń Sądu Najwyższego. 8° str. 120. Kraków, 1934. Księgarnia Powszechna, opr. zł. 3.20.

GRABOWSKI I. Ks. dr. prof.: Zagadnienie małżeństwa. 8° str. 158. Warszawa, 1934. Przegląd Katolicki. Zł. 3.

GUL R.: Czerwoni dowódcy. Woroszyłow. Budiennyj. Blücher. Kotowskij. 8° str. 275. Warszawa, 1934. „Rój". Zł. 3.

JACKOWSKI A. prof.: O należnościach opiewających na dolary. 8° str. 20. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 1.

JACOBSON W. dr.: Z armią Klucka na Paryż. Pamiętnik lekarza-Polaka. 8° str. 206. Toruń, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 3.

JANCZEWSKI I.: Spółka jawna w nowym kodeksie handlowym. 8° str. 32. Warszawa, 1934. Bibljoteka Prawnicza. Zł. 1.50.

KALINOWSKI K. inż.: Jak naprawiać i utrzymywać budynki z 4 ryc. 8° str. 48. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.90.

KRUIF de P.: Walka nauki ze śmiercią. Przełożyli P. Lamowa i dr. Z. Grabowski. 8° str. 386 z 16 ilustr. Warszawa, 934. Trzaska, Ewert i Michalski. Zł. 15, opr. zł. 18.

KRYŃSKA E.: Krótkie wskazówki dla hodowców jedwabników, wyd. 2-gie. 8° str. 23. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.50.

KRZESIŃSKI: AND. Ks. dr.: Kultura nowoczesna i jej tragizm. 8° str. 161. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.

KUBICKI M.: Sosnowe słowa. Poezje z rys. J. Kłopockiego. 8° str. 67. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.

LUTOSŁAWSKI J. dr.: Wahania myśli rolniczej. 8° str. 35. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.50.

MOSZCZEŃSKI S. prof.: Racjonalizacja pracy w gospodarstwach wiejskich. 8° XVI, str. 164, Warszawa. 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 5.50.

NEHRING E.: Kapusta, kalafiory oraz inne warzywa. Wyd. 2-gie przerobione i uzupeł. z 26 ryc. 8° str. 115. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.80.

NOWIKOW-PRIBOJ A.: Cuszima. Tom. I. Przeł. Wł. Broniewski. 8° str. 248. Warszawa, 1934. „Rój". Zł. 3.

ROSTWOROWSKI R.: Tat Tvam-asi. Poezje. 8° str. 95. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.

ROTH J.: Marsz Radetzky'ego, t. I. Przełożyła W. Kragen. 8° str. 260. Warszawa, 1934. „Rój". Zł. 3.

RUTKOWSKI FRANCISZEK Ks.: Arcybiskup Jan Cieplak 1857—1826. Szkic biograficzny z rycin. 8° str. 415. Warszawa, 1934. Przegląd Katolicki. Zł. 12.

STANISZKIS W. prof.: Wyniki doświadczeń z odmianami lnu za okres 3 letni (1927—1929). 8° str. 60. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 1.20.

SZLAGOWSKI A. Ks. Bis.: Rozmyślanie podczas godzinnej adoracji kapłańskiej. 16° str. 54. Warszawa, 1934. Przeglad Katolicki. Zł. 0.50.

TOMASZEWICZ ST.: Skorowidz wykroczeń karno - administracyjnych. Wyd. 2-gie powiększone. 8° str. 76. Warszawa, 1934. Bibljoteka Prawnicza. Zł. 2.

TRZECIAK ST. Ks. dr.: Mesjanizm a kwestja żydowska. 8° str. 377. Warszawa, 1934. Przeglad Katolicki. Zł. 5.

Alfred Jesionowski

Dokument krzywdy

Kiedy się właśnie pojawiła w wydaniu książkowem powieść Jana Wiktora p. t. „Wierzby nad Sekwaną *) spodziewać się było można, że nastąpi nareszcie szeroka, poważna i wyczerpująca dyskusja nad tą nad wyraz bolesną sprawą, jaką jest położenie naszej emigracji we Francji. Oczekiwać było można tego tem bardziej, że zarówno polska prasa codzienna, jak pisma społeczne i literackie nadzwyczajną wykazały czułość na rzeczywistą i urojoną krzywdę społeczną... obcą. Hitlerowskim gwałtom poświęcano tygodniami całemi szpalty pism, z łamów prasy nie schodzi nieszczęście rozbitków „Czeluskina“, trzęsienie ziemi w Japonji powoduje długie artykuły, pełne współczucia nieszczęsnych ofiar.

Wszystko to byłoby w zupełnym porządku i rzeczą naturalną — gdybyśmy się zdobyli na analogiczne zainteresowanie dla niezawinionego nieszczęścia, dla smutnej doli naszych rodaków, dla permanentnego gwałtu, którego ofiarą są Polacy, ludzie nam najbliżsi. Ale w tej dziedzinie panuje obojętność doskonała, milczenie zupełne. Co jest tego przyczyną, że krzywda tych najbliższych nam, krzywda o pomstę do nieba wołająca, nie jest w stanie wzruszyć naszych publicystów, krytyków, którzy całe traktaty o humanitaryzmie napisać potrafią z okazji wypędzenia jakiegoś jakiegoś pisrza niemieckiego z Niemiec hitlerowskich? Czy treść straszną, zawartą w utworze Wiktora, zrozumiano jako fikcję, czy nie odczuto, że powieść ta jest dokumentem?

O pierwszego lepszego przestępcę politycznego wprawia się w ruch całą Ligę Obrony Praw Człowieka, Wellsy, Rollandy i Einsteiny walą płomienne protesty — a o krzywdę tysięcy ludzi pracy, żyjących w warunkach nie do opisania, właśni rodacy się nie upomną, chociaż tu nie chodzi już o jakiś „biały“ teror — ale teror we wszystkich możliwych kolorach do purpurowego i czarnego włącznie. Do djabła z takim humanitaryzmem, który szaty rozdziera o los 10 iredentystów, a któremu obojętny jest los dziesiątek tysięcy ludzi, poniewieranych robotników we wszystkich dziedzinach pracy, los ich żon i dzieci, przymierających głodem, pobawionych elementarnych warunków bytowania ludzkiego, bezsilnych wobec zgodnie brutalnego postępowania wszystkich sfer, korzystających z pracy nieszczęśliwych przybyszów. Oto drobniutki obrazek:

„Wpadła Ratajczakowa z chłopcem spłakanym. Ociec! Patrz — Adaś ze szkoły ledwo przylazł. Nauczyciel sprał zato, że mówi po naszemu na pauzie. — Zdarła ubranie, pokazała wszystkim krzywdę dziecka... Drobne plecy kurczyły się od wspomnień kija... „Pierą dziecko po gębie, do krwi biją — i furt to samo: ty świnio, ty bydlę polskie... cochon polonais, sauvage, chameau, bourrige allez en Pologne pour manger des pierres“ — żryjcie kamienie bydlęta...“ (I. 131 — 132).

Powieść Wiktora — daje obraz pełny gehenny naszych emigrantów we Francji, porusza wszystkie możliwe problemy, związane z ich życiem na obcej ziemi, obejmuje rozmaite typy robotników i robotnic, nie pomija żadnej dziedziny pracy, obejmuje życie na prowincji i w stolicy. Autor zanalizował zarówno powody emigracji, jak i życie w obcym kraju, wzajemny stosunek emigrantów do siebie, jak i do chlebodawców, nie pominął typów i charakterów ujemnych wśród Polaków, jak i nie zapomniał o szlachetnych Francuzach — i stworzył z tego wszystkiego obraz przerażający, obraz nieludzkiej krzywdy. Upomniał się głosem silnym i stanowczym o opiekę nad temi tysiącami nieszczęśliwych wychodźców. I choćby w tym obrazie było 50 proc. przesady — to krzywda jest zbyt okrutna, by nie miała wywołać szerokiego echa, by nie miała doprowadzić do szybkiej naprawy tego nieznośnego położenia, w jakiem się znajduje tysiące najlepszych i najtęższych i najodważniejszych bojowników o prawo do życia.

Cóż tych nieszczęsnych tam zagnało?

Przedewszystkiem brak pracy i nędza w kraju.

„Bieda nas stamtąd wygnała. Poszliśmy z kraju, żeby tamci mieli więcej chleba. Żeby oni wiedzieli, jak nam tu, toby każdy nasz kroczek świętym zrobili“ (I. str. 100).

Gnał ich głód ziemi, nadzieja takiego zarobku, aby powróciwszy po paru latach pracy — kupić sobie w ojczyźnie własny kawałek gruntu.

„Jadę po zarobek, żeby zaco było kupić parę morgów, a akuracik dwór parcelują, w sam raz przy mojem, potem obsiać, obrobić...

Drugi chłopina słuchał i nie słuchał. Siedział twarzą zwrócony do morza. Cudował się, kręcił głowa i patrzył w morską dal, jakby wytyczał granice, wymierzał zagony i miedzami otaczał“. (II. str. 14).

Innych wreszcie skusiły niesumienne informacje, nieuczciwa agitacja, złudne nadzieje.

„Tutaj piekło. Przyjechaliśmy z Westfalji, bo Polska tak kazała: jedź do Francji, do siostry wspomagaj ją w potrzebie. Rzuciliśmy wszystko, a co tutaj zastaliśmy? Eh, lepiej nie mówić...“ (I. str. 128).

Rozpoczęła się droga krzyżowa tych tysięcy nieszczęśliwych zdrowych, pełnych sił ludzi, robotników i robotnic, zaczęła się od chwili, kiedy stanęli na ziemi francuskiej, zaprzedani w niewolę po podpisaniu kontraktu, z którego słowa nie rozumieli — bo nie mieli odpowiedzialnych polskich doradców, bo francuscy agenci zupełnie świadomie wychodzili na wyzysk, bo francuski kapitał w polskim robotniku nie człowieka widział, ale siłę pracy, coś bezosobowego. I tak rozpoczęli swój żywot parjasów, wyjętych spod wszelkich praw, żywot gorszy od bydła. Rozeszli się po polach dawnych bitew, by oczyszczać te pola od pocisków, które wybuchały w rękach, okaleczały ciężko lub pozbawiały życia. Nieszczęśliwemi kalekami nie zaopiekował się nikt, prócz własnych rodaków. Nie otrzymali najmniejszego odszkodowania, bo nikt ich nie ubezpieczył. Sądy francuskie dla nich sprawiedliwości nie miały. Inni poszli do innych zajęć.

„Wszędzie nasze ludzie.
Wszędzie. Po kopalniach, po fabrykach, po fermach. Za to żegnają nas batem, jak ksiądz święconą wodą... Połam grzbiet, co im tam. Nie umieją Polaka szanować — ino krew wypijać. Polactwo gorzej poniewierane niż te pierwsze, najpośledniejsze śmiecie na ulicach. Dają najgorszą robotę. Nikt nie idzie brać — nasze ludzie wezmą“. (I. str. 217).

„W niedzielę najgorszą robotę dają, nie pozwolą świętego dnia uszanować. Nie klęknij, pacierza nie zmów, bo zaraz się śmieją. Jakie to ludzie? niby katolki — a Boga nie mają w sobie. Wciąż wrzeszczą: ja pobożnych nie potrzebuję ino robotnych. Krew z palców wyciskają... Konia więcej poważają i szanują, jak naszych ludzi. Ukrzywdzą, sponiewierają, zbiją — nie poskarżysz się, bo gdzie? Ony na nas mają kij. Sprawiedliwości tutaj nie znajdziemy“ (I str. 218).

„No — jeszcześmy potrzebni. Przyjdzie czas, gdzie nas wezmą za karki i za drzwi. Zaprzęgli nas do swego pługa i poganiają, jak chcą. Co im tam, zdechnie dziesięciu — to przyjdzie stu żebrać o prace. Złodzieje naszej krwi“. (II. str. 53).

Na fermie świszczy bat fermera, w kopalni sztygar pogania kopniakami, zarząd wytrąca za byle wadę w kruszcu lub węglu, za lada nieporozumienie. Tygodnie, miesiące ciężkiej pracy przynoszą akurat liche utrzymanie. Żadnych świadczeń socjalnych. Nieznajomość języka, brak systematycznej opieki i kontroli, sprawia, że ci nieszczęśni, szczególnie pojedyńczo pracujący, pozbawieni także opieki organizacyj polskich, zdani są na zupełną samowolę pracodawców, wyzysk agentów, przytłoczeni cierpieniami fizycznemi i moralnemi. Cóż dziwnego, że niejednego nieszczęśnika takie życie pchnie do przestępstwa, do zbrodni, że marzeniem staje się wyzwolenie się za wszelką cenę. Przestępstwem staje się wszystko: opuszczenie pracy to łamanie kontraktu. Ucieka — pozostaje bez papierów. Jak szczuty zwierz ukrywa się, kradnie, bo głodny. Uderzy mocną pięścią, by uwolnić się od pościgu. Poszczęści się — prowadzi żywot nędzarza pod mostami Paryża, rzadko uda się przemknąć przez granicę. A nie poszczęści się — zakosztuje francuskiego więzienia, do których nie zaglądają członkowie Ligi Obrony Praw Człowieka. Wychodzi z piętnem hańby, ten: „bandit polonais“. Nawet gdy mu się znośna praca trafi na fermie, uczciwych znajdzie gospodarzy — cierpi. Przecież niema do kogo przemówić po swojemu — niema swojego nabożeństwa w niedzielę. Zaciska pięści i usta, pracuje: na kawałek ziemi w Polsce. Ale nie daj Boże, by siły osłabły, by się wartość mięśni zmniejszyła, wtedy:

„Won, kuśtykaj do kraju, wystarczą ci siły, żebyś łapę pod kościołem wyciągnął, głosu ci też wystarczy, żebyś wyskamlał: litościwe chrześcijany, wspomóżta grosikiem. Kto ich tam wspomoże? I tam dość dziadów.

...Nikt nie chciał robić, a tyś się podjął ostatniej, najostatniejszej roboty... Odbudowałeś kraj po wojnie, im dach nad głową, im fabryki, im kopalnie. Lata pracowałeś, swoim potem ich karmiłeś — skończyłeś, nie potrzebnyś, więc kułakiem w zęby i za drzwi“. (II str. 319).

Francuz sam wyznaje spokojnie:

„Ich (Polaków) tęgie ramię potrzebne do pracy, której nie podjąłby się żaden nasz robotnik. Kupujemy ich zdrowe mięśnie i odbudowujemy to, co zostało zniszczone. Materjalna kultura nauczyła nas dekalogu bata i mądrości jego używania“. (I. str. 164).

Powtarzam: Choćby połowa, choćby trzecia część tego, co autor przytacza w powieści z tej martyrologji polskiego chłopa i robotnika — było prawdą — wystarczy i to, by wzbudzić grozę dość i to, by obudzić sumienia, by upomnieć się o krzywdę naszych rodaków. Ale prawdy w tej powieści jest więcej niż połowa. Miałem sposobność rozmawiać z księdzem polskim, który z Francji wrócił. (Był tam polskim duszpasterzem). Porównując jego relacje z powieścią Wiktora — śmiało stwierdzić można, że „Wierzby nad Sekwaną“ są dokumentem prawdziwym. Tam tylko, gdzie silna jest polska organizacja — samowola i wyzysk ze strony gospodarzy są mniejsze, choć szykany rozmaitego rodzaju wcale nie ustępują krzywdzie, jaką znosi samotnie pracujący Polak, Polak niezorganizowany.

Słusznie wyznaje ów ksiądz francuski z „Wierzb nad Sekwaną“, że Francuzi jako naród „są zdolni do szlachetnych wybuchów“, w życiu codziennem zaś są „groszorobami, skąpcami, wyzyskiwaczami bez serca“, że Francja dzisiejsza, Francja Stawiskich, to „architektura ducha, wykwit kultury, najwznioślejszy wyraz człowieczeństwa, a u stóp tych piramid mały człowiek grzebiący w kałuży, szukający centymów“. (I. str. 128).

Powieść Wiktora to nietylko obraz piekącej rany na naszem ciele, nie tylko bolesna tragedja ludu naszego na wychodztwie — to nietylko wzruszający obraz głodu ziemi i przywiązania do niej, piękny obraz hartu ducha, tężyzny fizycznej i moralnej polskiego chłopa i robotnika, nie tylko hołd oddany odwadze i bohaterstwu w walce życiowej, — powieść Wiktora to czyn społeczny, to rozdzierający krzyk o elementarną sprawiedliwość, to szlachetny i donośny głos w obronie uciśnionego człowieczeństwa, poniewieranej godności ludzkiej

Ale czyśmy bez winy? Dużo zawiniliśmy sami w sprawie naszych wychodźców, nie zbadawszy poprzednio terenu, warunków pracy, nie otoczywszy naszych emigrantów należytą opieką, nie kontrolując kontraktów, nie lustrując miejsc pracy, nie zorganizowawszy należycie opieki prawnej. A choć dziś się wiele już zmieniło na korzyść, choć władze nasze dziś czujniej śledzą życie i warunki pracy polskich wychodźców, to wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Groźne jest wciąż niebezpieczeństwo wynarodowienia dzieci emigrantów, ustawicznie pilnować trzeba słusznych praw obywatelskich i zarobkowych emigracji. Wzorem nam być może pod wzgl. organizacji niemiecki Verein für Auslanddeutsche, dysponujący olbrzymiemi funduszami, zaopatrujący niemieckie wychodztwo w pierwszorzędnych nauczycieli, instruktorów, kapłanów, w książki specjalnie dla wychodztwa pisane, w bibljoteki — utrzymujący stały kontakt z swemi ziomkami.

Głos Wiktora przeniknąć winien do wszystkich polskich serc — bo to głos sumienia naszego, sumienia ludzkiego.

*) Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną.—Warszawa, 1933. Tow. Wyd. „Rój“. Tom. I. str. 294+. 2 nlb. Tom II. str. 367.

L. Całkosińska

N. K. z N. A.

Któż z bywalców teatrzyków warszawskich nie przypomina sobie świetnego skeczu, zatytułowanego (o ile mnie pamięć nie myli): „Gwiazdka na Pograniczu“ W djalogu pomiędzy żołnierzem Czerwonej Armji i Kop'u podkreślono ich zasadnicze różnice. Dla Polaka: tradycja — Gwiazda Betleemska, Dzieciątko są elementami uczuciowemi, wywołującemi łzy rozrzewnienia. Komunista natomiast tłumaczy z wyżyn „stosowanej“ wszechwiedzy, że łzy, to wydzielina gruczołu; tradycja zaczyna się od Lenina; religja to fanatyzm pracy; gwiazdy: pył kosmiczny, promienie gamma i ultra X; a wogóle jedyną rzeczą godną uwagi, jest program Piatiletki. I nie sądzimy, żeby fakt pokłonienia się przez komunistę Nieznanemu Zbawcy, miał w jakikolwiek sposób naruszyć jego przekonania. Ot, chwila słabości...

Z pozoru błaha rzecz. Ale gdy przejrzymy najnowszą literaturę beletrystyczną, okazuje się, że właśnie tak a nie inaczej wyobraża ona sobie nowoczesnego komunistę. Oto on: Wychowanek idei, czysty produkt systemu, zaprawiony do dyskusji i pracy, pozbawiony sentymentów, fanatyk postępu użyteczności, nowy inteligent proletarjatu, przystosowany do jego potrzeb. Idzie na podbój świata z poczuciem swej misji, a z nim całe zastępy tegoż pokolenia, ukształtowanego na jedną modłę. Wchodzą oni nie tylko do literatury; wkraczają bojowym szykiem w życie... współczesne. A właśnie z takich samych „dzieci rewolucji“ powstała ongi zwycięska armja Bonapartego.

I oto, krwawy sadysta z powieści Decobry, — znika, ulatnia się z kart, ustępując miejsca nowemu przybyszowi. Pierwszą jaskółką jest Vasilissa Kandarina — tancerka z Morandowskiej „Mort du Cygne“, torująca swym śmiertelnym lotem drogę siostrom komunistkom. Już zupełnie skrystalizowana w formie „typu“ zjawia się w literaturze francuskiej Natalja Kuryłowa, sekretarka „Nouvelle Arcadie“*), wysłanniczka Departamentu Propagandy. Traczka z archangielskiej kolumny: „Piła mechaniczna i Postęp“, absolwentka wieczorowych kursów romanistyki, wzgardliwa i wyniosła, staje na progu „spróchniałej, zgniłej Francji“ z toporkiem za pasem, dobrze wyładowanym plecakiem — w rewolucyjnej, czerwonej bluzie i rzuca pozdrowienie pracującego proletarjatu.

Maurice Bedel, w świeżo wydanej: „La Nouvelle Arcadie“ idzie w zawody z Morandowską satyrą. Sypie dowcipami, śmieje się, drwi, ośmiesza, rozbraja, traktując napozór pobłażliwie aktualną we Francji kwestję komunizmu. Czy nie rozdmuchano jej do przesady? Czy ktokolwiek z państwa uwierzy w podobną ewentualność? Jak długo Francuz jest indywidualistą, używa zaimka dzierżawczego, ma poczucie własności i ambicję na punkcie swego warsztatu; jak długo miła mu jest swoboda, rodzina i szklanka wina — nic nam nie grozi!... Lecz... czy nikt z was nie słyszy odgłosu kroków armji, maszerującej od wschodu?

To ostrzegawcze pytanie, rzucone mimochodem, ginie w wartkim błyskotliwym toku opowiadania o nieprawdopodobnych, choć prawdziwych perypetjach komórki komunistycznej. Któż z nas — mówi autor — nie słyszał o entuzjazmie, wywołanym wśród paryżan mowami słynnego Cherès'a, znanego „twórcy idei“ i komunisty. Wyznawcy jego uprawiali idee w sobotnie popołudnia na jednej z wysepek Sekwany, lecz zrażeni trudnościami różnego typu — postanowili dać czynny przykład życia kolektywnego.

Lekarze - chemicy, uczeni, mężatki i panny w liczbie 16-tu założyli w nabytej spomocą towarzyski, hrabiny de Courlidon, posiadłości Boischenu, pierwszy ośrodek.

Wysłanniczka Sowietów, młodziutka N. K., wskaże im metodę pracy, filozof żyd. Lucias, dbać będzie o czystość idei. Nowa Arkadja zaczyna żywot w imię zbiorowej pracy. Hasła: „Wszystko dla wszystkich, nie dla jednego“, zniesienie własności włącznie do szczoteczki do zębów, zniesienie płci, zaimka dzierżawczego, odczuć indywidualnych, wchodzi w program nowego ustroju.

Entuzjaści wyruszają w drogę do Boischenu. A właśnie zamek ten, położony w słonecznej Touraine, przy bocznej linji kolejowej, na której widok nielicznych pasażerów wzbudza ogólne zniecierpliwienie konduktorów (ah ce sale métier) sąsiaduje z wioską St. Marol. Wieś, ot zwykła francuska wioska, ani biedna, ani bogata, wtulona pomiędzy winnice, przecięta strugą, ogarnięta linją lasów i strzelistych topól. Ludzie żyją tam po Bożemu. Oddani praci, ci na roli, tamci przy warsztacie, każdy z nich ambitny na punkcie swego zawodu i s w e g o wina. Wstrząsy socjalne tu nie dochodzą i jedynym wyjątkiem w nieświadomej prądów nurtujących świat ludności, jest, dwudziestoletni syn siodlarza Paul Martin, przed którym bibljoteka opuszczonego zamku odkryła świat wiedzy, idei. Właśnie poznał 1620 rodzai uczuć Fourniera, właśnie zgłębił 351 sposobów szczęścia, proponowanych w ciągu stuleci przez uczonych, gdy zjawiła się przed nim N. K. z N. A. niosąc najdoskonalszą receptę na szczęście.

Trudno jest propagować i realizować wyrzeczenie się — gdy o dwa kroki od nas ludzie prowadzą niczem niezamącony żywot. Trudno jest arkadyjczykom, chociażby popierał ich entuzjazm jednego Paul Martina — pracować w pocie czoła i odżywiać się w oczekiwaniu pierwszych plonów pracy, korzonkami, gdy o miedzę w każdym francuskim domu rozpala się ognisko i przynosi smakowite zapachy posiłku najmniejszy powiew wiatru. I chociaż arkadyjczycy śpią co noc w innym łóżku, chwytają pierwszą z brzegu odzież, mówią „my“—zamiast „ja“ i negują miłość — sąsiedztwo wsi francuskiej czyni swoje. Pierwszy zakup, pierwsza puszka sardynek przerywa tamę heroizmu. Za funtem cukru — wyjeżdża wóz z żywnością, i kucharka. Za kucharką — pracownicy i zmiana ustroju. Komuna ulega rozkładowi, po rządzie demokratyczno - socjalistycznym przychodzi republika i ostatecznie władza gościnnej hr. Courlidon.—Jesteśmy komunistami i pozostaniemy nimi — mówi ta ostatnia — ale któż nie przyzna, że komunizm daje wiele tematów dyskusyjnych, lecz b. mało rezultatów realnych?

Ale w nowym błogim ustroju Arkadji nie tylko dyskutują, prowadzi się celową propagandę wśród okolicznej ludności.

Kolumna propagandy, pod wodzą Natalji Kuryłowej niesie pozdrowienie czerwonego proletarjatu. Niestety, Natalja napróżno szuka robotnika — ofiary ustroju burżuazji. Kowal — przed którym roztacza obraz zmechanizowanej pracy, udowadnia, że wyroby rąk są trwalsze od maszynowych, a warsztat własny nie jest czemś do pogardzenia. Cieśla pyta o wolny czas w ustroju komunistycznym, swobodę działania, odróżniającą człowieka wolnego od niewolnika. Farmerkę interesuje fakt, czy za rządów komunistycznych wzrosną ceny na zboże, a wizja życia koszarowego, standaryzowanego jadła i odzienia wzamian za pracę nikogo nie pociąga.

Zawodzi również wizyta w małej fabryce, przypuszczalnym ośrodku niezadowolenia i różnic społecznych. Sam właściciel rozwiązał problem najgorliwszemu agitatorowi, ustąpił na pół roku miejsca: miejsca przy biurku, zawalonym pozwami płatniczemi, w dyrekcji, gdzie głowi się nad wygórowanemi żądaniami związków robotniczych, w willi, z której nie ma się radości, bo niepokój i trody zadręczony robotnik gorzknieska zabijają chęć do życia. I kieje i chudnie, beztroski właściciel po ukończonej „ciężkiej dniówce“ łowi ryby.

— Ten człowiek ma rację — mówi ponuro Lucias — i za to, doszedłszy do władzy, powiesimy go.

A cóż w tem zamieszaniu czyni Natalja Kuryłowa? Początkowo powtarza „gubimy drogę“ — i oburza się na brak zmysłu kolektywnego, lecz powoli słodycz i urok Francji czyni swoje. Niedarmo przebiega okolice — propagandzie komunistycznej przeciwstawia Francja czar szczęścia à l'ancienne. To szczęście, to dom rodzinny, zamiast koszar—uścisk dziecka, słowa pieszczoty, drobne troski i drobne radości. To szczęście — to miłość Paul Martina. Cóż to się stało z wspomnieniami z Archangielska — dzienną pracą i nocnemi dysputami? Z wizją zmechanicowanego świata, w którym każda energja cieplna, każda struga musi oddać swe wartości na użytek świata - machiny. Drzewa przestały być chemiczną formułką, składnikiem celulozy - chlorofilu - pektozy i innych ciał chemicznych, przy rodotwórczym materjałem. Tej, którą kołysano legendami o pracy i obowiązku, o Marcie Dubinowej, która po dniu akordowej pracy umarła z wycieńczenia.

Po Aleksym Petrowiczu zamarzniętym przy naprawie mostu, — opowiadają dziś legendy o dryadach — śpiącej królewnie, — o miłości. Natalja — uczłowiecza się — odkrywa piękno choćby bezużyteczne. Już nie marzy o zniweczeniu świata. Chciałaby zachować bez zmian ten skrawek ziemi — z jego lasami i srebrną strugą — chciałaby zaznać szczęścia a l'ancienne“. I wygląda to tak, jak gdyby miała uledz. Sprzyja temu słoneczność lata, gwiaździstość sierpniowych nocy, nieśmiała miłość Paula.

Ale Bedel jest nietylko romansopisarzem, chodzi mu o przeprowadzenie tezy. Młode pokolenie ze szkoły sowieckiej nie może zapomniej o dyscyplinie i misji. Jedna mowa komisarza sowieckiego, usłyszana przez radjo, wystarczy, by przywołać ją do szeregów. Przestaje być Natalją, na nowo jest „N. K. z kolumny: Siła mechaniczna i Postęp“ — Odwraca się od szczęścia, od Martina a którego życie Sowietów zgniotłoby na miazgę, i niepostrzeżenie odchodzi. Odchodzi jak przyszła— z plecakiem — i toporkiem za pasem, w mglisty, wczesny poranek.

Słowa zaledwie nauczone — „Mój maleńki... Kochany...“, zamierają na ustach. Powoli, miarowo zdąża za wschodzącem słońcem, i z trudem przypomina sobie z przemówienia te — które dotarły do jej uśpionego sumienia:

„Plan piatiletki zwycięża na wszystkich frontach. Jeszcze jeden wysiłek...“

Poza nią, wioska francuska, budziła się do pracy — zwyczajnie i poprostu razem z pianiem kogutów.

*) Maurice Bedel. La nouvelle Arcadie, ed. Gallimard, 1934.

Adolf Nowaczyński

Dickstein contra Marlena

INTERWENCJA VIA „ABC"

Rok temu zwróciło się tutaj uwagę czynników miarodajnych i sfer zainteresowanych na dwa filmy hollywódzkie, które puszczono na Amerykę, a w których zohydzono nazwiska naszych bohaterów narodowych. W dwóch tych filmach w „Życiu Immy Doliana" i w „The Kidder" (Rozbójnik), najszpetniejsze, najczarniejsze typy noszą nazwiska w jednym Pułaski a w drugim Kościuszko. Ponieważ w listach z Ameryki, w których informowano nas o tem, zwrócono uwagę, że wytwórnie, które sprodukowały te dwa nikczemne kicze, są kierowane przez izraelitów, o nazwiskach całkiem niedwuznacznych, przeto zaapelowaliśmy tu także do rodaków - żydów, aby (w erze hitlerowskiej), jednak wpłynęli szybko na krewniaków w Hollywood: Niech albo filmy, albo nazwiska poradzą jaknajspieszniej usunąć.

W odpowiedzi na to „Nasz Przegląd" piórem „Lectora" zakwestjonował prawdę tych relacyj, czy rewelacyj i pisał:

„To wszystko wygląda bardzo nieprawdopodobnie. Jakto, akurat obecnie, gdy żydzi całego świata potępiają trzecią Rzeszę, wytwórnia żydowska nietylko będzie szkalowała polskie imiona historyczne, czczone w dodatku nietylko w Polsce, lecz i w samej Ameryce, ale zarazem będzie gloryfikowało Niemca? Jeżeli tu niema jakiegoś nieporozumienia co do nazwisk, to widocznie mamy do czynienia poprostu z filmem niemieckim, bo wszak humbugiem jest twierdzenie, że cały Hollywood znajduje się w rękach żydów. Toteż i my się przyłączamy do życzenia, aby poselstwo polskie w Waszyngtonie zbadało tę sprawę i jednocześnie apelujemy do organizacyj żydów polskich w Ameryce, by one na własną rękę przeprowadziły dochodzenie".

Ani poselstwo polskie, ani organizacje żydów polskich w Ameryce taką „drobnostką" i to przez opozycyjnego publicystę poruszoną, oczywiście się nie zajęły. Zajął się natomiast zarząd „Związku Organizacyj Polskich w Ameryce" i obejrzawszy sobie oba filmy, wędrujące tylko po prowincji amerykańskiej, wysłał do najwyższej instytucji branży filmowej w Ameryce, to jest do mr. Will Haysa, prezesa „Motion-Picture Producers and Distributors, energicznie zredagowany protest. Bezzwłocznie od prezesa Will Haysa przyszla odpowiedź na ręce prezesa kolonji polskiej, p. J. Romaszkiewicza, w której to odpowiedzi (w polsko - amerykańskich dziennikach drukowanej), czytało się, co następuje:

„Jest określonym celem organizacji przemysłu unikania włączania do filmów czegokolwiek, coby miało charakter ubliżający jakiemukolwiek narodowi ,rasie albo klasie. Mimo poważnych wysiłków w tym kierunku, bardzo rzadko zdarza się jednak błąd, ale zawsze staramy się go naprawić. Cieszymy się, że zwrócił Pan na tę sprawę uwagę.

„Co do obrazu pod tytułem „The Life of Jimmy Dolan" to nie widziałem wprawdzie sam tego obrazu, ale powiedziano mi, że był pokazany przed kilku miesiącami i że zawierał ustęp czy dwa, które można byłoby uważać za nieszczęśliwe implikacje".

Poczem za te „nieszczęśliwe implikacje" prezes Will Hays przeprasza, równocześnie informując o dyspozycjach, aby natychmiast nazwiska Koztiusko i Pulaski z nikczemnych kiczów wykreślono.

CZEMU NIE MECENAS DICKSTEIN?

Trzebaż więc było dopiero tak okólną drogą, aż przez nasze „ABC" skłonić do interwencji naczelną organizację Polonji amerykańskiej, podczas, gdy właściwie jedynym człowiekiem, który tam na miejscu powinien był zaraz interwenjować energicznie jest przecież tylko i wyłącznie.. mecenas dr. Samuel Dickstein.

Dlaczego znowu mecenas Dickstein? Z których Dicksteinów? I co znaczy ta „zaczepka"?

Ano dlatego mecenas Dickstein, ponieważ po p r i m o — pochodzi z Polski i tu ma dokoła swych krewniaków, po s e c u n d o — dwa lata temu w Polsce i w Warszawie z wizytą bywał, po t e r t i o— amerykańską produkcją filmową systematycznie widocznie się interesuje, po q u a r t o — od Kongresu, a więc od r. 1919 jest członkiem Kongresu, a więc osobistością wpływową i ważną, z której głosem się liczą, po q u i n t o — do polityki i spraw politycznych stale się miesza, w różnych sprawach głos zabiera, co zresztą i na rozwój i rozbudowę kancelarji adwokackiej wpływa zawsze dodatnio. Z tej przyczyny, w tym właśnie wypadku, w tej aferze (T h e L i f e o f I m m y D o l l a n... T h e K i d d e s) można było na niego liczyć, jak na Zawiszę.

Filmy były wyprodukowane i skomponowane przez dzielnych współwyznawców mr. dr. Dicksteina w sezonie 1932/3, to jest wtedy, kiedy szła przez Stany olbrzymia fala propagandy antypolskiej, kiedy w rewanżu za „okropne pogromy" w Polsce, odbywały się olbrzymie wiece, pochody demonstracyjne, co dwa tygodnie wychodziły książki antypolskie (Padover, Lengyel), a niejaki Kraus (dr. Artur Kraus a u s K r a k a u), docent City - College w N. Yorku urządził sobie aż słynną głodówkę, jako demonstrację przeciw słuchaczom City - College, nie chcącym brać udziału w manifestacjach antypolskich.

Otóż congressman mecenas dr. Dickstein wiedział chyba, że te dwa filmy agitujące i szkalujące nas w sezonie 1932, w sezonie 1933 już są nietylko nieaktualne, ale kompromitujące. Przecież wobec nastania hitleryzmu w Niemczech wraz z jego konsekwencjami, przyszedł sezon okropnej przyjaźni dla Polaków i protegowania państwa polskiego, jako utra toleranckiego, a więc temsamem „kulturalnego". Mecenas Dickstein mógł zatem zainterwenjować szybko, aby te filmy, obrażające Polaków w bezecny sposób natychmiast zostały wycofane, a nazwisk Pułaski i Kościuszko, czczonych w Ameryce, szerokie masy publiczności nie oglądały jako związanych z dwoma typami gangsterów, gwałcicieli, morderców... A jednak cogresman Dickstein tem się nie zajął, tę sprawę zbagatelizował, a to dlatego, bo... bo zajęty był wtedy zgoła czem innem... Czem? Specjalista od „s r e b r n e g o e k r a n u"... zajął się wtedy właśnie... s r e b r n e m i k o s z u l a m i...

TCHÓRZLIWY ANTINAZI

I otóż tymto właśnie nowym interesującym, a tak mało u nas znanym ruchem zajął się, można powiedzieć, namiętnie nasz kongresman Dickstein. Że to niby wszystko idzie od tych przeklętych Niemców i od tego piekielnego Hitlera. Niemców jest w Ameryce 12 miljonów. Agitują sobie bezkarnie i szerzą wszędzie swoje barbarzyńskie, średniowieczne ideje i wymysły. Niektóre stany zarazili już co się zowie. Przedewszystkiem Kalifornię! Kalifornię, gdzie jest urocze Los Angeles, no i Hollywood, którem congresman Dickstein specjalnie się interesuje. Wobec tego okazała się potrzeba wyłonienia z kongresu specjalnej komisji dla „inwestygacji" (wyśledzenia), jak daleko zachodzi i zaszła w Stanach agitacja bezkarnych Nazistów.

W tej to materji drażliwej mecenas Samuel Dickstein kilka razy przemawiał w kongresie, aż mu wreszcie taką komisję inwestygacyjną sklecono. Choć atoli, jako przewodniczący „Komisji Emigracyjnej", a inicjator akcji anti-nazi i na przewodniczącego tej komisji też się nadawał, to jednakże od przyjęcia tej godności się uchylił poprostu, jak to mówią, z tchórzostwa, gdyż jako najzajadlejszy propagator akcji antinazi dostawał w ostatnich czasach moc listów z pogróżkami, tak, że nawet cyrkulować może po New Yorku tylko w asyście bardzo mocno uzbrojonych detektywów. I to go też może znów zwróciło do jego dawnej pasji, w której jest też „szpecialist", to jest do kina. Ta dziedzina działania okazała się bezpieczniejszą i spokojniejszą.

MONROEJCZYK AMERYKOSEMICKI

I tutaj w p a d ł nasz Samuel z naszych Dicksteinów na pomysł bardzo oryginalny i całkiem świeży. Sprawa jest prosta. Najsławniejsze gwiazdy filmowe drogie sercu kongresmena Dicksteina biorą gaże trzeciego lub czwartego stopnia. Choć niby cały ten wielki przemysł widowiskowy i wszystkie omal „fabryki snów" są w rękach naszych Naszych, to jednak czy to będzie sam Samcio Goldwyn czy Fox czy „wiceprezydent" Paramountu Emcio Cohen czy taki sobie Schenck (U n i t e d A r t i s t) czy sam „prezydent Laemmle" (były krawiec). to jednak ile to oni dają n a s z y m (tutejszym) zarobić, a ile tym... Szwedkom tym Ormianom, tym polinegrom, tym Czeszkom, tym nawet Niemkom i Niemcom! Dość powiedzieć, że kiedy taki gwiazdor, jak Eddie Cantor, taki genjusz humoru! takie wcielenie komizmu, taki drugi Chaplin, w swoim rodzaju poprostu Einstein! Dostaje za obraz 75.000 dolarów i do tego trzeba mu zawsze doangażować tysiąc najgolszych dziewczynek (cały czas rozebranych), to jedna taka Niemka, taka Dietrich, taka Marlena, dostaje za jedną p i c t u r ę 150.000 (s a g e u n d s c h r e i b e): 150.000 dolarów a ma gwarantowane dwa rocznie.

Więc gdzie tu sprawiedliwość? gdzie Al Jolson, gdzie Jackie Coogan?, gdzie gaża dla genjalnego w każdym calu b a c h o r i m maleńkiego Cohena Abramka? Czyż koniecznie należy sprowadzać te gwiazdy ze starej Europy? Czy z genjalnej (w każdym calu) Constancji Pomeranz z Bostonu nie dałoby się zrobić drugiej Garbo mniejszym kosztem? Salo Citrin, czy nie ma więcej szyku i nie jest muzykalniejszy stokroć od tego przepłacanego Chevaliera (150.000 dolarów p i c t u r e)?

Pogadał i potelefonował mecenas Samuel ze znajomymi buziakami i łobuziakami z prasy branżowej, no i wreszcie wystąpił przed Kongresem z projektem znów nowego b i l l u... Monroe w Hollywood! Ameryka dla Amerykanów! Pierwsi są tutejsi a potem dopiero innostrancy, Mamouljany, Ormiany, Włochy, Boleslawski, Japonki, Szwedki, no a przedewszystkiem te Marleny! Wystarczą nasi. Nie chcemy więcej cudzoziemców, obcokrajowców, wmieszkanych (meteków)! Damy sobie rady bez przybyszów! bez przybłędów, bez h y p h e n ó w. Hollywod trzeba odkazić, usanować, g l e i c h s h a l t e n. Samostarczalność! Autarchja! Dość tego międzynarodowego inwazyjnego elementu w Los Angeles i w „fabrykach snów".

BRAK POSŁUCHU

Przeciw Samuelowi wystąpił inny Samuel, największe kepełe z branży p r o d u c e n s.

Jeżeli Kongres uchwali projekt, mr. Dicksteina, mówił czy pisał mr. Goldwyn (car carów filmowych), to Hollywod stanie się pustynią czy Niniweh, a Tante Europa zamknie swoje wszystkie budy przed produktami stuprocentowo amerykańskiemi! Wszyscy, jak tu teraz siedzimy w fotelach zejdziemy na psy i pójdziemy z torbami. Jeśli chcecie doczekać się krachu i benkele, to posłuchajcie wygłupiań się tego! tego warszawisty, tego Litwaka, tego winkelszreibera, tego kauzyperdy Dicksteina! Liczcie na takiego Zawisza, a wyjdziecie, jak Zabłocki na mydle Schichta. Skończyłem.

Tak mniejwięcej pisał, czy mówił jeden Samuel o drugim Samuelu.

A inni to mówili jeszcze gorzej. A taki nawet Schenk (United - Artist), albo znowu Zuckor czy Schódmak, to się poprostu śmiali w niebogłosy do rozpuku samotrzeć, że taki mądry adwokat, a wyskakuje z takimi głupstwami i jest nieco ganef i myszuge - niusz i wogóle rozmiękczenie, rozwolnienie mózgu... (p a r t i e l l e G e h i h r n v e r s t o p f u n g).

A ktoś tam to podobno przypomniał Dicksteinowi, że on sam jest h y p h e n i metek, bo do Ameryki przybłądził dopiero w 1908 roku.

A Marlena, to o nim powiedziała, że gada, jak reakcjonista, wstecznik, stuprocentowicz, poprostu, jak Endek, bo o h n e E n d e.

A Greta tylko zagwizdała coś, zapaliła papierosa i nie słuchała nawet do końca.

Stanisław Młodożeniec

N a k a z

(Fragmenty słuchowiska)

Po sołtysach
nakaz wysłał —
pieczęć — podpis,
że nie okpisz...

Pismo znane —
rozmachane —
zakrętasy —
plamy czasem..

Punkt za punktem
idą truchtem —
nakazują,
ni co ujął...

Naostatek:
„Józef Wiater,
wójt wilczycki...
czytać wszystkim"...

Na dodatek:
rygor z batem
na tych, którzy
będą burzyć...

— No — i cego?
Cytać!
Cytoj-ze, ciemiego!...

U sołtysa
głowa w łysach..
U sołtyski
miele pyskiem...

— Wis? cy nie wis?
Co? co cytos?
— ......Przykoz...

Na sołtysie
blacha wisi...
Ma sołtyska
blachę w miskach...

— A, zorazo!
Śline łykos?
No — odrazu —
— ......Przykoz...

Sołtysowi
głos się boi...
pod sołtyską
trzeszczy wszystko...

— No, wyraźnie,
stary błaźnie,
bo ci —
to ci
pazur koci...

To się japą
w papir naparł —
i w papirze,
co mu wyrzekł —
czyta...
Ta piegami
wodzi za nim —
każde słowo —
piegą nową —
słucha...

bzz...z...z...
mucha!...
sołtys stanie —
mucha na lep —
bzz...z...z...
czy-ta-nie
bzz...z...z...
słu-cha-nie...

Ja — Józef Wiater —
wójt na wielkiej gminie —
przed całym światem
wiadomo czynię
i nakazuję prawem
sołtysom, ludziom, wsiom,
żeby się każdy wziął
do sprawy...

To więc:
z sołtysem każda wieś
w niedzielę tam opatrzy,
kto ni ma co jeść,
kto ile ma —
i kto bogatszy...

I ustanowić taki ład:
co we wsi któren brzuch —
musi, żeby dosytnie jadł,
musi —
żeby się spełna czuł...
i jużci...

To więc:
po wszystkich wsiach
z sołtyską władzą —
z roztropnością
niech radzą
i uładzą,
co nakazuje kościół:
nad każdą głową — dach!
czy kaszkiet —
czy kapelusik —
nad głową dach —
— ......Musi!...

To więc:

Nie wolno w żadnej wsi
pod giętkiem prawem czy wykrętem,
żeby się kto w atłasach gził,
a inny kwitł nagością święty...

I ustanowić taki ład,
że grzeszny
czy bezgrzeszny —
niema świętości na nagusie! —
To nakryć chabem wszelki gnat!...
......Musi!...

Dla każdej wsi to przykazanie:
dać kąt —
i odziać —
i nakarmić!...
Co więc, utwierdzam, gdy się stanie,
to stąd —
to z Panem Bogiem stąd żandarmi!

A w poniedziałek ino świt,
wybuchną ludzie na wesołość —
Do kupy zebrać, co jest sił —
Ogłaszam szalwark naokoło...

To więc:
niech każda wieś —
do czego kto
i każdy z czemś —
niech wszystkie staną!...
od Lasów —
z Dołów —
z Łąk —
gdy przyjdzie rano —
równać front!...

Charówki świat ma nie na wagę —
rozwalon leży taki wieprz —
wyciągać trzeba go z tych bagien,
kto krzepę w łapach, lewar bierz!...

Porównać drogi... Mosty sprawić...
Bajorka spuścić... Wał u rzek...
Wydziabać osty w zbożu, w trawie—
w ogrodach drzeć pokrzywny grzech...

To więc:
niech każda wieś —
do czego kto
i każdy z czemś —
niech wszystkie staną -
z łopatą —
z gracą —
czy z motyką —
nie puszczaj z rąk
i nie utykaj!...
...Gdy przyjdzie rano...
wyrównać — równać front...

Na szalwark gminę całą wołam —
Murarze, kielnie chwytać w garść...
Na wtorek musi stanąć szkoła —
żeby się niem co miało stać!...

W Pęczynach glinka, co się patrzy,
Pieluszów drzewo palić da —
Daromin wapnem zaopatrzy —
Przezwody suchy wytkną plac.

To więc:
kto z kielnią,
kto z toporem --
stamtąd —
stąd —
wyrównaj front —
a szkoła musi być na wtorek!...

Robota ciągle się wydarzy —
pilnujcie, sołtys, bo to trza...
Jak dobrym jest się gospodarzem,
to każdy dzień swój znajdzie czas.

Nie zbywa chleba po piekarniach —
na durną mowę, sołtys, pluć...
Za mało ludziom jeszcze ziarna,
pilnować ciągle trzeba pól...

Nie starczy ludzi — pracy huk —
pieniądze, sołtys, pal ich sześć! —
Niech głowę ino da nam Bóg,
bez grosza świat będziemy nieść.

To więc:
w każdy dzień
szalwarkiem wieś —
szalwarkiem idzie —
i chodzi wkrąg...
Na cały tydzień —
wyrównaj, równaj front...

Musi się w gminie zacząć ład,
Od jutra, sołtys, przykazanie:
do chłopskich łap
bierzemy świata pranie.

Nowe książki

PŁUŻAŃSKI S. Inż.: Zasady mobilizacji przemysłu na potrzeby obrony państwa. 8° str. 204. Warszawa, 1934. Księg. Techniczna Warsz. Zł. 5.00.

Prawo pracy. Ustawy i rozporządzenia. Orzecznictwo Sądu Najwyższego.

ŚMIAROWSKA J. dr.: Higiena mężatki. 8° str. 124. Warszawa, 1934. Dom Książki Pol. Zł. 3.50.

WODECKI J. i GALICKI I.: Tabele do obliczenia składek na wszystkie rodzaje ubezpieczeń społecznych. 8°. Str. 68. Płock, 1934. Bracia Detrychowie. Zł. 2.50.

WASILEWSKA W.: Historja o człowieku pierwotnym. Bibljoteka książek Różowych. 8° str. 101. Warszawa, 1934. Księgarnia Nowości, kart. Zł. 1.50.

WOLSKI R.: Droga do wolnej ojczyzny. Powieść z dziejów wychodźtwa polskiego w Rosji 1914—1918. 8° str. 265. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 5.

ZWEIG S.: Strach. Przeł. M. Wasermanówna. 8° str. 258. Warszawa, 1934. „Rój". Zł. 3.

Marjan Grzegorczyk

Jak gra Paderewski

II.

PEDALIZACJA

Sekret orkiestralnych efektów w grze Paderewskiego nie polega jednak na samej tylko technice uderzenia. Moment jeszcze bardziej istotny stanowi mistrzowskie używanie pedału. Sztuka ta była jednym z esencjonalnych czynników w metodzie Leszetyckiego i niewątpliwie Paderewski wiele od niego na tym punkcie skorzystał, jednakże już i przed lekcjami u Leszetyckiego rola pedału jako elementu wzbogacającego zakres dźwiękowości fortepianowej szczególnie go zajmowała, samodzielną zaś pracą znacznie rozszerzył i udoskonalił to, czego się mógł we Wiedniu nauczyć. Traktując fortepian nie jako pole jedynie do wirtuozowskiego popisu, ale jako środek wywoływania jaknajpotężniejszych efektów muzycznych, Paderewski lekkim krokiem przeszedł nad przesądami t. zw. klasycznej szkoły gry fortepianowej, która redukowała używanie pedału do minimum i całe godziny poświęcał na zgłębianie arkanów sztuki pedałowania, którą posiadł w sposób tak doskonały, jak żaden z jemu współczesnych, wprowadzając szereg efektów przedtem nieznanych.

Subtelność i rozległość jego skali w używaniu pedału, dająca się porównać jedynie z stopniem, w jakim palce jego panowały nad klawiaturą, osiągnęła stopień takiej doskonałości, że, jak stwierdza krytyk amerykański Finck, Paderewski nigdy nie zamazuje pedałem czystości i jasności harmonji i pasażów, a wydobywa z fortepianu przy jego pomocy barwy tonów, przedtem niesłyszane. Szybkiemi jeden po drugiem naciskami pedału osiąga zmianę jakości tonu po jego zadźwięczeniu na strunie i posiada własne sposoby wyzyskiwania efektów orkiestralnych, którychby nie osiągnęło najbardziej rafinowane mudulowanie od piano do forte, lub odwrotnie.

Wielu krytyków oburzało się na Paderewskiego, ganiąc go bardzo ostro za rewolucjonizm w „nadużywaniu pedału“, publiczność zaś, słuchając jego gry — szalała. Na pierwszych już koncertach w Niemczech ludzie zachowywali się, jakby „zwarjowali z radości“, entuzjazm tłumu „graniczył z upojeniem“ — tak pisali krytycy niemieccy, stwierdzając, że tylko jednego Liszta przyjmowano dotąd w taki sposób. Ale bo też ogromnie wiele nici wspólnych jest między Lisztem a Paderewskim — nietylko spowodu świetności karjery estradowej, ale także pod względem traktowania fortepianu.

Paderewski, który nigdy w życiu nie słyszał Liszta, gra jego utwory bez porównania lepiej, niż jakikolwiek z jego bezpośrednich uczniów — to stwierdzali również wszyscy, nawet najniechętniejsi, którzy, słuchając jego rapsodyj lisztowskich nie byli w stanie oprzeć się ogarniającej całą salę fali zbiorowego zachwytu. Obaj oni, Liszt i Paderewski, wiedzieli, jak nikt inny przedtem ani później, jakie olbrzymie możliwości kryje w sobie fortepian i obaj też umieli wydobyć je w całej pełni. Obaj też rozwijali w grze tak potężny zasób indywidualności, że nawet nadając wykonywanym utworom interpretację zupełnie odbiegającą od ustalonych norm, potrafili całkowicie przekonać słuchacza i podbić, umiejąc przemówić doń mocniej, niż ktokolwiek inny.

TEMPO RUBATO.

W interpretacji muzycznej Paderewskiego rolę zupełnie specjalną gra t. zw. tempo rubato. Rzecz znamienna, że jedyna praca Paderewskiego z zakresu teorji muzycznej, drukowana przed wojną w wydanem w Ameryce, przez Fincka „Success in Music“, dotyczy właśnie tego tematu. Rytm to życie — oświadcza Paderewski — i dlatego nie ma rytmu absolutnego. Toteż tempo rubato nie ogranicza się, jego zdaniem, do samego Chopina, ale obejmuje także Schuberta, Schumanna, Brahmsa, Liszta, Griega. Zapatrywaniom tym, ujętym na piśmie jedynie na usilne prośby przyjaciela, Paderewski dawał stale wyraz w swej działalności estradowej i żywym przykładem najdobitniej demonstrował, jak dalece były słuszne. Opozycja ze strony części krytyków, niejednokrotnie bardzo ostra, nie mogła w niczem wpłynąć na ten niewątpliwy fakt, że dzięki indywidualnej interpretacji Paderewski czarował swą muzyką i że jego tempo rubato, stosowane nawet do Beethovena, wywoływało niepoprównane wrażenie, gdy grał np. sonatę księżycową lub Appassionatę. Wykonanie jego było bowiem w całej pełni kongenjalne z kompozycją.

INTERPRETACJA.

Interpretacja każdego utworu jest dla Paderewskiego kwestją długiego przygotowania, tak, aby na estradzie żaden szczegół nie był dziełem przypadku. Przygotowując program do nowego tournée koncertowego, traktował z reguły cały repertuar, choć go nieraz umiał na pamięć, tak, jakby przystępował do niego po raz pierwszy, jednakże, poświęcając główną uwagę nie całości, ale indywidualnym fragmentom. Każda nieoczekiwana dla słuchaczy oryginalność interpretacyjna, każda dodatkowa pauza, nagłe zwolnienie tempa, zupełnie swoiste położenie akcentu — stanowiły rezultat nieskończenie długich prób.

Osiągnąwszy najzupełniejszą doskonałość techniczną, Paderewski przy wykonywaniu utworu muzycznego koncentruje na nim całą swoją jaźń, niejako chłonie go w siebie i stapia się z nim w jedno, przelewając w muzykę całego siebie, wszystkie niezwykle bujne dary swego intelektu. Podstawowym nakazem sumienia artystycznego jest dla znalezienia bezpośredniego osobistego kontaktu duchowego z kompozytorem, którego utwór odtwarza — dlatego też, poza paru nielicznemi wyjątkami, nie obejmował nigdy swym repertuarem kompozytorów nowszych: nie znajdował bowiem możności tak ścisłego wewnętrznego porozumienia się z nimi, jak tego wymagały jego artystyczne kanony. Zato niejedna rzecz Liszta, w każdem innem wykonaniu banalna i tylko błyskotliwa, pod palcami Paderewskiego nabiera nieoczekiwanej głębi i treści.

Olbrzymi gmach świetnego aparatu technicznego i niezwykle sumiennych studjów odsłania nam jednak tylko część tajemnicy gry Paderewskiego, tak jak np. drobiazgowa analiza budowy organizmu wytłumaczy nam tylko strukturę ciała i uzmysłowi prawidła życia, ale nie odpowie na pytanie: czem jest życie i jaką rolę gra w niem — dusza. Wielkość zaś Paderewskiego na tem właśnie polega, że w grę wkłada całą duszę, że przeżywa w czasie koncertu z niesłychaną intensywnością każdy ton swej muzyki. Mimo niesłychanego opanowania wewnętrznego, wyrobionego siłą woli i wieloletniem ćwiczeniem, mimo ujęcia w żelazną dyscyplinę każdego ruchu i gestu, nie potrafi nieraz w czasie gry zapanować nad swą twarzą, na której odzwierciadla się wówczas cała lawina przeżywanych uczuć, słodycz zachwytu i męka cierpienia. Są i tacy, którzy widzieli, jak nie mógł powstrzymać w czasie gry płynących z oczu łez, są tacy, którzy słyszeli, jak mu przy niektórych utworach podczas triumfalnego fortissimo krzyk ekstazy wydzierał się z piersi. Ten może powód sprawił, że już od swych najpierwszych początków Paderewski koncertuje zawsze przy świetle przyćmionem, w nastrojowym półmroku i do odpowiedniego uregulowania świateł na sali przykłada stale ogromną wagę, twierdząc, że przy oświetleniu jaskrawem nie może się należycie skupić.

WALKA O DUSZĘ SŁUCHACZA.

To połączenie mistrzostwa techniki z intensywnością przeżywania wewnętrznego wyniosło Paderewskiego ponad wszystkich innych wielkich odtwórców muzyki fortepianowej. Nad tymi, którzy wyłącznie są wirtuozami, góruje potęgą intelektu, sentymentu, pasją ekspansowania całej swej istoty w czasie gry — nad tymi zaś, którzy w podobny sposób traktując muzykę nie rozporządzają jednak bądźto odpowiednio wysoką maesterją, bądź też należytą dyscypliną nad własnemi nerwami, ma przewagę sharmonizowania jednego z drugiem. A pozatem jest w nim coś jeszcze więcej. Koncert dla niego to nie wirtuozowskie „fara de se“, ani nawet swego rodzaju apostolstwo muzyczne, ale to — walka. Walka o mickiewiczowski „rząd dusz“. Każdy koncert Paderewskiego, to wyprawa zdobywcza po dusze słuchaczy, to podbój. I dlatego może ten wielki artysta przed każdym występem publicznym odczuwa niesłychaną, wprost chorobliwą .. tremę, nawet (rzecz zdawałoby się, niewiarygodna), teraz, gdy ma za sobą tak świetną karjerę życia człowieka i artysty, a zewsząd spotyka się z oznakami najwyższego hołdu.

Trema — przed czem? Przed męką ekshibicji psychicznej, jaką jest dla niego każdy koncert, czy przed nowem i nowego podboju wymagającem audytorjum, trema przed możliwemi przypadkami bądź w instrumencie, bądź też we własnej grze, czy też — ten niepokój wewnętrzny, jaki każdy odczuwa przed momentem walki? Zdaje się, że właśnie to ostatnie. Jeśli Paderewski już od wczesnego rana w dzień koncertu rady dać sobie nie może, jest nerwowy i niespokojny i doczekać mu się trudno chwili, kiedy nareszcie wybije godzina wyjścia na estradę, to wynika to przedewszystkiem stąd, ze jest zdobywcą. Nic też dziwnego, że cała jego karjera artystyczna była szeregiem nieustannych „podbojów“ i że przed wojną uznano go powszechnie niekoronowanym „królem fortepianu“. Nic także dziwnego, że ten temperament, gdy wszedł na arenę działalności politycznej postawił go odrazu w pierwszym szeregu, a byłby niewątpliwie ukoronował historję jego życia zajęciem stanowiska polskiego Masaryka, gdyby nie to, że jeden kraj zamały jest dla dwóch tego samego typu ludzi.

Gra Paderewskiego to — rządy dusz nad słuchaczami. I tem się tłumaczy jego niezwykły wpływ na masy: umie je zdobywać.

KRÓL FORTEPIANU.

Zanalizowawszy jednak wszystkie składniki jego sztuki, stajemy jeszcze przed sezamowym murem ostatecznej, a podstawowej zagadki: skąd się bierze to niesłychane wrażenie, jakie wywiera na słuchaczach? Skąd ten nieopisany entuzjazm, który mu stale towarzyszy, a na stare lata jest jeszcze bardziej zdumiewający, niż gdy był w pełni męskiego wieku i męskich sił? Dlaczego z jego wejściem na estradę wszyscy wstają, jak przed suwerenem, a gdy skończył grać, są oczarowani?

Jeden ze słynnych pianistów powojennych, Gabrilowicz, oświadczył z przekąsem: „Lepiej, abyśmy wszyscy zostali premjerami, a potem powrócili do muzyki“. Czyżby? A przecież, gdy w czasie konferencji pokojowej Paderewski po raz pierwszy zjawił się u Clemenceau i ten zapytał: „Czy jest Pan może krewnym słynnego pianisty?“, na co padła odpowiedź: „To ja sam“, wielki Tygrys nie mógł się powstrzymać od sarkastycznej uwagi: „I to Pan, słynny artysta, został premjerem? Na co Pan zeszedł! (Quelle déchéance!)“.

I niema wątpliwości: Nie dlatego na koncercie paryskim w roku 1932 z wejściem Paderewskiego na salę powstała z miejsca w swej loży królowa Belgji, a za nią cała sala, iż Paderewski był kiedyś szefem rządu polskiego ani nie dlatego tylko, że jest wielkim patrjotą i niezwykle wybitną indywidualnością, składają mu hołdy zarówno w Europie jak za Oceanem. Mógłby nie być ani jednem ani drugiem, a jednak witanoby go taksamo z tego jednego tylko, ale najważniejszego, powodu: jako Suwerena fortepianu.

Bo to jest fakt. Można pytać daremnie: Dlaczego tak jest? i można krytycznie stwierdzać, że w tem lub tamtem, ten czy ów nie ustępuje dziś Paderewskiemu, a może jest nawet od niego lepszy, bo w lepszej formie — ale w rezultacie jeszcze gętsza stanie przed nami tajemnicza zasłona zagadki. Bo jeśli tajniki artystycznych sukcesów Paderewskiego dadzą się rozłożyć na części i zanalizować, to dlaczego nie mieliby takichże sukcesów tą samą metodą osiągać inni? Jednakże tych innych niema. Jest zatem coś jeszcze więcej — ale co? Czyżby zbiorowa sugestja?...

Właśnie: coś w tym rodzaju. Tylko że aby zasugestjonować salę o kilku tysiącach słuchaczy i aby to czynić stale, z niezmiennym za każdym razem sukcesem, trzeba nietylko być bardzo wielkim artystą, ale pozatem także trzeba być niepospolitym człowiekiem. Trzeba być — Zdobywcą Dusz. Voilà...

KONTAKT Z AUDYTORJUM.

Każdy, kto się zetknął z Paderewskim, pozostawał pod silnem wrażeniem jego potężnej indywidualności i przytoczone na wstępie tych uwag genjalne powiedzenie Saint - Saensa, wygłoszone u samego początku karjery Paderewskiego, z biegiem lat coraz bardziej okazywało się słuszne. Pod tem też wrażeniem pozostaje audytorjum na jego koncertach, które się pamięta przez całe życie, bo się ich nie s ł u c h a ł o, ale — p r z e ż y w a ł o. Na równi z wielkim artystą na estradzie. A dzięki czemu ta zbiorowa sugestja przeżywania, pod wpływem której szaleli z potęgi wrażenia ludzie, nigdy przedtem na koncerty nie chodzący, jak to np. bywało w Ameryce? Dzięki kontaktowi, jaki artysta umie nawiązać z audytorjum.

Paderewski gra nie dla siebie i nie dla krytyki, ale dla publiczności — niejednokrotnie otwarcie to wyznawał i w uczniów swoich starał się jaknajmocniej wpoić tę świadomość, oraz zrozumienie wynikających z niej wskazań dla koncertanta, poczynając od takich nawet drobiazgów, jak naiczyty ukłon powitalny, a kończąc na takich wymogach, jak odpowiednio wyraźny ton, aby nawet słuchacz w ostatnim rzędzie galerji wszystko dokładnie słyszał. „Gra na fortepianie — mówił — podobna jest do przemówienia, musi być jasna, artykułowana, wyraźna, aby każdy zrozumiał, co się ma do powiedzenia“

Zjawiając się na estradzie jako jej prawowity król, jest zarazem po królewsku hojny i o żadnym ze swych poddanych nie zapomina. Ma do oddania bardzo dużo, bo całego siebie, ale oddając, zarazem żąda — żąda oddania się pod władzę jego muzyki I cel ten osiąga, bo umie zdobywać.

Jeśli Napoleon stał się „bogiem wojny“, to zawdzięczał to po części dziejowemu zbiegowi okoliczności, poniekąd także szczęściu, ale przeważnie — samemu sobie: u m i a ł wojować i wiedział, co do tego potrzebne. I dopiero od wielkiej pomyłki, jaką była wyprawa na Moskwę, rozpoczął się zmierzch Napoleona.

Paderewski również umie podbijać tłumy słuchaczy, wie dokładnie, jakich środków to wymaga i żadnego nie zaniedbuje. Nad występami swymi pracuje i dziś niemniej starannie, niż to czynił w młodości. I dlatego krok tak nawet ryzykowny i zdawałoby się niemożliwy do zrealizowania, jak powrót na estradę w wieku lat 62, po siedmioletniem nietykaniu ręką klawiatury, który mógł być wyprawą moskiewską, stał się nowem pasmem triumfu.

I teraz, rekapitulując, wróćmy do słów Paderewskiego, jakie sam o sobie wypowiedział, przypisując w swych triumfach tylko 1 prec. talentowi, a 90 pracy i to pracy po trzykroć powtórzonej. Trudno pogodzić się z tak skromną autokrytyką. Przedewszystkiem, zamiast trzech razy słowa „praca“ trzebaby powiedzieć: potężna wola, żelazna dyscyplina wewnętrzna, a dopiero na tych dwóch podstawach oparta praca. Potem należałoby dodać: nietylko wielki talent muzyczny, ale niepospolita wrażliwość artystyczna i wybitny intelekt. A wreszcie: charakter i olbrzymia indywidualność.

Dopiero gdy to wszystko razem zsumujemy, zrozumiemy, na czem polega przedziwna sztuka wielkiego Czarodzieja fortepianu : w jaki sposób to się stało, że zajął stanowisko suwerennego władcy na estradzie — nie dzięki uśmiechowi szczęścia, ani zbiegowi konjunktury, ale jedynie dzięki samemu sobie.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Opowiadanie dziadusia

— Dziadziu, co to znaczy: Jaś mówi, że jest nacjonalistą?

— To znaczy, dziecinko, że Jaś chce państwa narodowego, że chce wszystko budować na narodzie.

— A kto to, dziadziu, wymyślił?

— Widzisz, dziecko, najciekawsze, że narodu nikt nie wymyślił, on się sam zrobił.

— A jak to było, dziadziu?

— Toby strasznie długo opowiadać.

— Ale opowiedz, dziadziu, musisz opowiedzieć!

— No dobrze. Więc widzisz, tu gdzie teraz mieszkamy było kiedyś zupełnie inaczej. Mieszkali tu ludzie, którzy byli naszymi praprapradziadkami i mówili po polsku, ale nie byli Polakami. Nie mieli jednego rządu, ani wojska, ani szkół, nie wierzyli także w Pana Jezusa.

— A w co wierzyli?

— Tego, moje dziecko, nikt dobrze nie wie. Jeden strasznie stary pan, co się nazywa pan Brückner i mieszka w Berlinie u hitlerowców, mówi, że nie mieli żadnego wspólnego boga, tylko każdy ród czcił swoich przodków i swoich duchów - opiekunów, a każdy tatuś był zarazem jakby księdzem dla swojej rodziny. Inni ludzie, nawet poganie mieli swoje wielkie i małe bóstwa, a my nie. Dlatego dziadziusiowi tak się zdaje, że jeżeli u nas ludzie nie bardzo głęboko myślą o Panu Bogu i mało było znakomitych teologów, to znaczy uczonych księży, to dlatego, że u nas sama nauka o Bogu jest świeższa niż gdzieindziej. Ale ty tego nie rozumiesz, tylko dziadziuś jest stary i dlatego tak sam do siebie trochę gada, więc powiem ci co było dalej. Więc potem tych ludzi, co u nas mieszkali, zaczęły wychowywać dwie takie dziwne rzeczy. Jedna z nich to było państwo, to znaczy wojsko, urzędy, sądy, więzienia, podatki, prawa, nagrody, a druga z nich to był kościół, to znaczy książki pobożne, księża, kaplice, klasztory, kazania, rachunek sumienia, pokuta, modlitwa, śpiewy, papież w dalekim Rzymie... Bo widzisz nie wszystkie narody wychowywały się przez państwo i kościół. Na wschodzie, tam gdzie mieszkają Turcy, Arabowie, Persowie, Indusi, Rosjanie i Grecy, było tylko państwo.

— To tam kościołów nie było?

— Był kościół, ale ten kościół to było to samo co państwo, a król był największym księdzem. I dlatego tam się nie wychowały narody, tylko się wychowali mieszkańcy państw - kościołów. A u nas nie mógł się człowiek stać tylko częścią państwa, bo mu kościół przeszkadzał. Kościół uczył, że trzeba słuchać więcej Pana Boga, niż króla i człowiek musiał myśleć i wybierać, kiedy słuchać i kogo słuchać. I tak z ludu zrobił się naród. Bo widzisz między ludem, a narodem jest taka różnica, jak między żelazem a stalą. Trzeba, żeby żelazu było i bardzo zimno i bardzo gorąco, żeby różne siły nad nim się łączyły i dopiero wtedy robi się z niego stal. Taksamo z ludu robi się naród.

— To kiedy u nas zrobił się naród?

— To bardzo trudno powiedzieć. On się robił długo i jeszcze ciągle się robi po troszeczku i jest coraz twardszy i coraz ostrzejszy. Chociaż czasami, to mu przeszkadzają. A już najwięcej to mu przeszkodzili dawno, dawno temu, jeszcze za ostatnich Jagiellonów i długo później. Bo się wtedy taki dziwny czas na świecie zrobił, że się znalazł trzeci wychowawca narodu, taki fałszywy tatuś.

— Jak on się nazywał, dziadziu?

— Nazywał się: tajna organizacja. Odsunął on trochę kościół, wsunął się trochę na jego miejsce, wołał naród do ciemnego kącika i radził mu różne rzeczy na ucho.

A narodowi to bardzo szkodzi. Tak widzisz, jakby kto tatusia zamknął w komórce i kazał mu tylko przez drzwi z resztą rodziny rozmawiać, toby tatuś był, jak obcy człowiek. A jakby kto taką komórkę za kilkadziesiąt lat otworzył, toby zobaczył, że tam są trzy komórki i trzech małych tatusiów siedzi i każdy co innego gada i każdy jest ze siebie bardzo zadowolony, a każdy mniejszy, niż się po głosie zdawało. I pokazałoby się, że mamusia słuchała innego tatusia, a braciszek innego.

— Ale przecież tatuś musi czasem iść do komórki?

— Ale jak człowiek musi coś robić w ciemnej komórce, to tego nie lubi i jaknajprędzej stamtąd wychodzi.

— A jak to skończyło się, co dziadziuś opowiadał?

— Z tym narodem? Więc widzisz naród coraz bardziej się wychowywał i teraz chce być sobą, być cały złączony jednakowo, i widzisz jakby tego... naród jak to niektórzy ludzie powiadają chce być zorganizowany, chce rządzić i wiedzieć, że rządzi, jakby ci to wytłumaczyć dziecinko... Ale dziadziuś gada, gada, gada, a tyś zasnął tymczasem.